Tom II. 21. Września 1870. Nr. 9.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Żebracy.

Któż nie zna żebractwa, co to na odpustach i jarmarkach, po drogach i przedsionkach kościelnych, wykrzywiając się i podsuwając skorupy żółwiowie lub miseczki pod nogi przechodniów, wielkim żałośliwym głosem proszą o jałmużnę? Po wsiach mniej się ich pojawia, ale w miastach większych roją się jak szarańcza i jak szarańcza są naprzykrzeni prawie do niezniesienia. Gdziekolwiek się obrócić lub przystanąć, gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie żebrak włazi ci w oczy i wyciągając rękę, nie da ci ani odpocząć, ani rozmówić ze znajomym, ani nawet przejść spokojnie przez ulicę.

Miłosierdzie wprawdzie jest rzecz święta; litować się nad niedolą ludzką, starać się zapobiegać nędzy, pocieszać, ratować bliźnich w nieszczęściu, podoba się Bogu i jest naszym obowiązkiem. Ale ludzie źli ze wszystkiego umieją zyski ciągnąć, a więc i z litości serca ludzkiego, i zrobili z tego spekulację handlową, jakby rzemiosło, w którem nie jednemu lepiej się dzieje jak uczciwemu człowiekowi ciężko pracującemu. Winą tego nasza nieoględność i złe pojęcie znaczenia jałmużny. Zdaje się nam, że za grosz złożony na rękę żebraka, wymówione przez niego błogosławieństwo i nabożne podziękowanie, albo wyklepany pacierz za dusze zmarłych, dla nas wyjedna łaskę

Bożą a dla nieboszczyków odpuszczenie grzechów ich żywota. Błąd to wielki moi bracia. Modlitwa miła Bogu, ale odmówiona ze skruszonej duszy, płynąca z rozżalonego serca, przy której człowiek czując że jest grzesznikiem, żebrze miłosierdzia Boskiego nieraz się łzami zalewając. Wyklepana bez myśli, aby zbyć, aby dopełnić obowiązku, nie ma żadnego znaczenia. Cóż dopiero jeżeli jest wyszeptana ustami żebraka, który pełen zdrowia i siły oszukując kłamaną nędzą, kłamie i ustami i swą powierzchownością, kłamie przed Bogiem, kłamie przed ludźmi i potem śmieje się skrycie, że mu się w kłamstwie tak dobrze wiedzie.

Powiadają także, że Bóg patrzy na dobre chęci człowieka a jeżeli ofiara jego miłosierdzia w złe padnie ręce, to dający zawsze ma zasługę, a tylko odbierający jałmużnę dopuści się winy obrażającej Boga. Tak jest rzeczywiście, ale tylko wtenczas, jeżeli człowiek mimowoli zostanie oszukany; jeżeli zaś wspiera żebraka dla tego jedynie, że rękę wyciąga, nie rozważywszy czy rzeczywiście jest nieszczęśliwym czy tylko oszustem, wtenczas ulega grzechowi nieoględności i lenistwa, i jałmużna jego nie tylko nie przynosi mu żadnej zasługi, ale przeciwnie niemiłą jest Bogu jako podtrzymująca złe i ułatwiająca ludziom zepsucie. Takiej jałmużny strzedz się należy jak ognia, a jednak bardzo często taką jedynie bywa. Bo zkąd się po większej części biorą żebracy? Oto z próżniactwa, z lenistwa, a mała tylko liczba z prawdziwej konieczności. Jak tylko człowiek ma zdrowe ręce, choćby nóg nie miał, już może i powinien na siebie pracować, nawet i stare lata nie zawsze od tego uwalniają. Po wsiach znajdują się starcy nawet zgrzybiali, często bez rodziny, bezdzietni, a jednak nikomu nie są ciężarem. W lecie pasą bydło, strzegą pól i ogrodów od szkody, przypilnują dzieci, domowstwa, gdy gospodarze zajęci są żniwem, robią powrósła, napoją dobytek, założą mu paszę, słowem wypełniają wszelkie lżejsze prace, wyręczają, dopomagają a zawsze uczciwie i starannie, za co ich chętnie tu pożywią, tam przytulą, tu dadzą parę groszy, tam odzieją, dość że starowina nikomu nie jest ciężarem a nawet przeciwnie przynosi wszystkim z siebie pomoc i wygodę. Więc i w starości człowiek może być pożytecznym, pocóż więc ma zostawać żebrakiem?

Nie dziwcie się, że tak długo o żebrakach się rozgadałem. Te roje żebraków z jakiemi wszędzie spotkać się można, to straszna plaga, gorsza od morowego powietrza, bo to odbiera życie ludziom, ona zaś psuje dusze ludzkie. A na nieszczęście rozmnaża się w przerażający sposób, a że z próżniactwa bierze początek, więc przysparza próżniaków, których pracowici muszą, żywić, boć powietrzem i wodą żyć trudno. Przez lat trzydzieści przeszło przypatrując się tej zgrai udanych nędzarzy, widziałem takie szkaradzeństwa, słyszałem takie niegodziwości, że mi się serce krwawiło na myśl, iż w kraju polskim może się znajdować tylu złych ludzi i oszustów. To więc com wypatrzył to wam opiszę sprawiedliwie, abyście poznali jak to trzeba być rozważnym w udzielaniu jałmużny.

Pewnego dnia w Warszawie rano przynajmniej na dobrą godzinę przed rozpoczęciem zwykłego nabożeństwa, w długich przedsionkach kościoła księży Reformatów, w wyciągniętej linji jak żołnierze stało żebraków złożonych z kobiet i mężczyzn sześćdziesięciu jeden, bo ich raz i drugi starannie przeliczyłem. O ile twarze prawdziwych biedaków, z kalectwa lub braku sił i zdrowia skazanych na nieszczęśliwe żebractwo, były miłe, pociągające, malujące poddanie się religijne, o tyle drugich obierających sobie żebractwo z próżniactwa, zrażały na pierwsze spojrzenie. Te bowiem głowy z rozczochranym włosem, gołe u mężczyzn, u kobiet poosłaniane jakiemiś na śmietniku pozbieranemi szmatami: te twarze pyzate, brudne, pozarastałe, nabrzękłe trunkiem i rozpustą, owe oczy z chytrem spojrzeniem biegające na wszystkie strony, te wreszcie łachmany podarte, podziurawione, tak każdego z nich robiły niemiłym, że rozpatrując się pilnie nie tylko wstręt ale nawet obrzydzenie obudzały.

Z pomiędzy wszystkich, najbardziej na siebie zwracał uwagę jeden żebrak, jeszcze zapewne niemający czterdziestu lat życia. Był to człowiek krępy, niewielkiego wzrostu, ale barczysty, z karkiem jak u woła, z włosem rudym na głowie jak wiewiórka i tak poczochranym w różne strony, jakby od urodzenia nie widziały nawet grzebienia. Zgarbiony, skulony, ubrany tylko w jakiś letni spencereczek, podarte płócienne spodnie i tak cały powalany jakby wpadł w błotną kałużę, stał przy samych drzwiach kościelnych oparty o ścianę, a że był na bosaka, raz więc poraz

na kamiennej posadzce przestępował z nogi na nogę. Głowę trzymał zwieszoną ku ziemi, jakby się bał żeby mu w oczy nie zajrzano, a parę kosmów włosów spadających z głowy zasłaniały mu całe czoło i jedno oko zupełnie. Po drugiej stronie prawie naprzeciwko niego, stały dwie kobiety, równie łachmaniasto ubrane, brudne, niechlujne; jedna znich trzymała dziecko płaczące bardzo osłabionym głosem, przy drugiej zaś stała mała dziewczynka, blada, nędzna, w podartem na płaty ubraniu i tuląc się jakby z osłabienia, często przymykała oczy. Obie te kobiety nie więcej jak po trzydzieści parę lat mieć mogły i gdyby je oskrobano z brudu i przyodziano inaczej, wyglądałyby wcale okaznie, zupełnie nie na żebraczki.

O parę kroków od nich stała jakaś wysoka baba jak grenadjer i tak cała zakryta, że tylko widać jej było koniec nosa i oczy czerwone jak u królika, latające na wszystkie strony z pilnem baczeniem. Dalej posuwał się szereg bab i dziadów, podobnych mniej więcej do tych których już opisaliśmy. Pomiędzy niemi stali i prawdziwie nieszczęśliwi, niewidomi, schorzali i bezsilni, ale na tych żebracy z profesji spoglądali z niechęcią jakby im chcieli powiedzieć:—won ztąd! kogo tu nie proszą tego kijem wynoszą.

Ponieważ nabożeństwo dopiero za godzinę miało się zacząć, a pora była jeszcze ranna, mało kto się pokazywał ze spieszących na modlitwę, i dla tego żebracy stojąc po trzech po czterech dosyć gwarnie z sobą rozmawiali, zamilkali jednak zaraz, jak tylko po kamiennej posadzce zaczęły się rozlegać kroki nowego przechodnia. Wówczas rozmowę zastępował głośny pacierz, głowy nachylały się z pokorą, ręce ściśnięte przed chwilą z groźbą, biegły do piersi, a oczy pałające gniewem i zapalczywością, przemykały się nabożnie niby w niemem rozmyślaniu. Gdy przychodzień niknął w drzwiach kościelnych, pozór ów przybrany wielkiego nabożeństwa natychmiast z siebie zrzucano, i następywały w tej chwili prawie głośne rozprawy, a najczęściej przerwane kłótnie, wymówki i odgróżki.

Tymczasem dziecina trzymana przez żebraczkę na rękach, zaczęła coraz częściej i głośniej się odzywać. Biedactwo pragnęło posiłku, wyciągało rączki szukając piersi matczynej i z płaczem dopominało się tego co się jej od natury należało.

Napróżno żebraczka bujała, przytulała, osłaniała, dziecina płakała ciągle, wreszcie kobieta zniecierpliwiona okrywając je z gwałtownością brudną i grubą płachtą, rzekła niecierpliwie:

— Przeklęty bębnie! i czegóż wrzeszczysz? Kiegoż ci djabła w pysk wrażę? Cicho! bo jak się zniecierpliwę to cię bębnie rzucę jak psiaka. A spać! a spać! i dały się słyszeć dwa klapsy jeden po drugiem dosyć silnie wymierzone. Dziecię wrzasnęło całem gardłem, zgraja bab i dziadów spojrzała a mała dziewczynka stojąca przy drugiej kobiecie spojrzała na swą opiekunkę miłosiernie, oczy zaszły jej łzami, poruszyła się niespokojnie i jakby z przestrachu skryła się w fałdy spodnicy baby przy której stała.

— Czego się kręcisz? — z gwałtownością zawołała kobieta — nie możesz stać spokojnie? Ej! bo jak cię kropnę to zobaczysz.

Dziewczynka aż zbladła i przerażona groźbą mimowoli wybuchnęła płaczem.

— Już płaczesz? — wrzasnęła jeszcze z większym gniewem rozgniewana kobieta — masz za to, żebyś miała za co płakać.

I w tej chwili rozległy się dwa silne uderzenia w twarz biednego dziecka, które ogłuszone, stumanione, zachwiało się i uchwyciło za ubranie rozzłoszczonej baby. Zapewne powiecie, czy podobna aby matki mogły być tak podobnie nieczułe? Zapewne! matce prędzejby serce pękło, niżby dopuściła takiej krzywdy dziecku swemu; to też nie były to matki ale najemnice biednych dziatek, aby udanem macierzyństwem pobudzać prędzej do litości. Obie te baby znałem już wówczas od lat kilku i zawsze z małemi dziećmi, i dziś je jeszcze spotkać można na ulicach Warszawy, tak więc według mego obrachunku, żebrzą już od lat dwudziestu dwóch. Dziś nie mają jeszcze lat piećdziesięciu.

W chwili kiedy dziewczynka tak niemiłosiernie została spoliczkowaną, na korytarzu od ulicy pokazały się dwie osoby podążające na nabożeństwo. Między zgrają żebraczą zaraz powstał szmer modlitwy, głowy się ponachylały, ręce powyciągały, dały się słyszeć prośby, westchnienia, nawet stękania jak obłożnie chorych, a gdy przechodnie doszli do bab z dziećmi, zatrzymali się i dali im po trojaku. Oczy opuszczonym żebrakom omało

z głowy nie powyskakiwały, przełknęli, przestąpili z nogi na nogę, i każdy coś szepnął, ale pewno nie nabożnie.

— Widzisz — szepnęła baba z dziewczynką do swojej sąsiadki z małą dzieciną — nie ma jak iść z dzieckiem na proszenie. Mężczyźni nie tyle litościwi, ale kobiety jeżeli nic nie dadzą, to choć spojrzą miłosiernie i za drugą razą nie opuszczą bez ofiary. Jakem była w Rokitnie na odpuście z małem dzieckiem, to wiejskie kobiety za każdym razem co bęben skwierknął, tak mi wtykały grosze po groszu, żem ledwie brać zdążyła.

— Może to być — odrzekła Kasia, baba gruba, usadzista jak pieniek po sośnie ściętej na podwalinę do wiatraka — ale z małem dzieckiem to wielka robota, bo jeżeli płacze ciągle jak to nieprzymierzając.....

— A jakżeś ty myślała? — przerwała druga — co chwila głodniejsze, to i płaczliwsze. Ale to lepiej, bo jak dziecko spi spokojnie to na niego nawet nie uważają, jak zaś płacze, to każdy zwróci oczy, litość go zdejmie i obdarzy jakim groszem.

— Zawsze to wielka mordęga z tym piskiem bębna.

— Ej! coby mi pisk dziecka wadził. W gębę włożyłabym bułkę w wodzie rozmoczoną toby się tem zapychało. Przed tym malcem co stoi przy mnie to nosiłam małego chłopca. To dopiero był krzykacz, że aż w obu pachwinach porobiły mu się gule jak ogromne pięście. Potem już nie mógł płakać, ale w początku kiedy wrzeszczał jak opętaniec, to groszy i trojaków nie mogłam nastarczyć zbierać. Później kiedy już nie mógł tak głośno wrzeszczyć, tylko piszczał jak mysz w pazurach kocich, tak już tego zarobku nie miałam. Tak myślę sobie: źle! z takiem spokojnem dzieckiem wielkich rzeczy nie zrobię, więc go czasem poruszyłam, kolnełam albo jeść nie dałam. Ale to nie niewiele pomogło, chłopiec się skrzywił, zaskrzeczał i znowu się uspokoił. Dopiero raz przypadkiem dotknęłam się guzów co je miał w pachwinie, a mój berbeć jak nie wrzaśnie to jak najzdrowszy jakby go kto ze skóry obdzierał. Od tego czasu badzo mi się poprawiło, bo jak dzieciak był spokojny a ja zobaczyłam że idą jacy państwo, tak go tylko za ten guz ścisnęłam to już wrzeszczał żeby obudził umarłego.

— A i czegoż z nim teraz nie chodzisz?

Już rok minął jak umarł, widać że go te guzy zamęczyły. Teraz wynajmuję tego malca, ale to tylko kłopot, ni to prosić nie umie, ni płakać, a bez płaczu dziecko nic nie znaczy.

(C. d. n.)

Gdzie moja ojczyzna?

Kędy Wisła falą szumi,
Człeka łatwo człek zrozumie;
Jakto przecie każdy przyzna —
Tam kraj, tam ma jest ojczyzna!

Gdzie pszeniczka rośnie nasza,
Bób, ziemniaki, owies, kasza;
Gleba z łaski Bożej żyzna —
Tam kraj, tam ma jest ojczyzna!

Gdziem obaczył światło Boże,
Pługiem moim ziemię orzę;
Gdzie ma leży ojcowizna —
Tam kraj, tam ma jest ojczyzna!

Gdzie spoczywa ród nasz stary,
Który trzeba czcić bez miary,
Bo był dzielny, sprawiedliwy —
Tam ojczyzna, kraj poczciwy!

Gdzie gościnność i życzliwość,
Silna wiara, w sercu tkliwość,
A pierszeństwo ma starszyzna,
Tam kraj, tam ma jest ojczyzna!

Gdzie obłudy niema, bracie,
Ale prawda w każdej chacie;
Gdzie figury po nad drogą —
Tam ojczyzna, gdzie tak błogo!

Gdzie skowronek nuci trele,
Miły bociek gniazdo ściele,
Kędy pasy i sukmany —
Tam ojczyzna, kraj kochany!

Kędy, bracia, grobów tyle,
I mogiła przy mogile,
I niejedna błyszczy blizna —
Tam kraj, tam ma jest ojczyzna!

Kędy sercu wszystko drogiem,
Gdzie człek legnie kiedyś z Bogiem,
A krzyż stawi mu rodzina,
Tam ojczyzna ma jedyna!

Józef z Bochni.

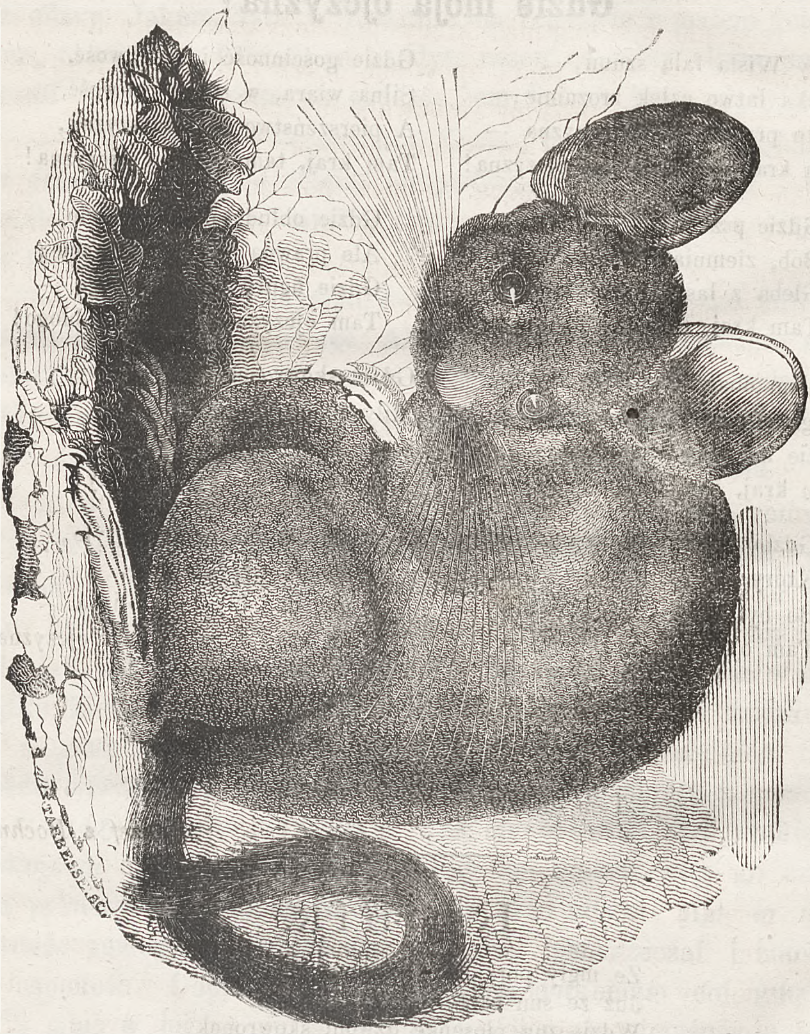
Rolnik.

Ze mgły porannej zabłysnął dzionek
Już ze snu cała wioska się budzi.
Wdzięczną piosenkę dzwoni skowronek,
Wierny towarzysz wieśniaczych ludzi.
Poobciążane pługiem i broną
Poważne wołki ciągną na pole.
A pilny rolnik ręką strudzoną
Złociste ziarna rzuca na rolę!
O cześć ci siewco! bo z twego trudu
Na chleb powszedni starczy dla ludu!

Władysław Bełza.

Szynszyla.

Już zbliżał się wieczór, kiedy do dworu nad Wisłą przybiegła pani Maciejowa zadyszana i zapłakana z prośbą o pomoc, gdyż jej mąż mocno zaniemógł. Zebrała się prędko pani dziedziczka, a wraz z nią i córeczka dwunastoletnia



Jadwisia i obie wyruszyły czemprędzej do chaty Maciejowej. Jadwisia przywitawszy domowników i starego Macieja, prosiła o pozwolenie odwiedzenia przyjaciółki swojej Marysi Nalepownej — na co mama chętnie zezwoliła i Jadwisia pobiegła do pobliskiej chaty. Przywitały się serdecznie, Jadwisia usiadła na ławeczce koło stołu i nuż gwarzyć, nuż rozmawiać to

o tem to o owem. Janek Nalepiak brat Marysi stał obok stołu i przysłuchiwał się rozmowie, a wreszcie począł się bawić zarękawkiem położonym na stole.

— A z czegoż to tak ładne futerko i do czego to potrzebne? — zapytał nareszcie.

— Widzisz przecie że zima — odpowiedziała Jadwisia — to i ręce nie tak marzną, kiedy je włożysz w ciepłe futerko — a z czego ono jest, to ci opowiem, jeżeli i Marysia ciekawa.

— Prosimy, prosimy — ozwali się oboje.

— Są zarękawki z rozmaitych futer, t. j. skór zwierzęcych, a ten co go tu przed sobą widzisz, pochodzi aż z południowej Ameryki. Widzisz jaki ma połysk niby srebro, a miękki jak jedwab. Zwierzątko, które ma tak ładne futerko, mieszka, jak ci to już powiedziałam, w dalekich krajach Ameryki południowej i nazywa się Szynszyla (obacz obrazek). Pokrewne jest z naszym królikiem — ale się o siebie nie troszczą wcale — a nawet się i nie znają jak to i między ludźmi bardzo często się zdarza. Uszka Szynszyli są krótsze jak u królika i zaokrąglone, zato ogonek o wiele dłuższy. Futerko ma miękkie i najdelikatniejsze ze wszystkich jakie znamy.

Szynszyla mieszka gromadnie na wysokich górach, w krainach, które się zowią Peru i Chile, w miejscach pustych, gdzie ani drzewo ani krzak nie rośnie, tylko maleńkie zioła i trawy. Lubi skały strome, pełne rozpadlin i kryjówek.

Podczas dnia szynszyle siedzą w norach albo śpią ukryte w cieniu. Dopiero kiedy się zmierzcha, poczyna sie życie szynszylów: to skaczą, to biegają, to się myją, wywracają koziołki, to spinają się po skale tak gładziutkiej, iż zdaje się że mucha by musiała upaść, to wreszcie zajadają obiad, składający się z małej ilości traw i kilku korzonków z ziemi wygrzebanych. I płynęłoby życie tych zwierzątek nader mile i wesoło, gdyby nie srodzy nieprzyjaciele, którzy czatują na ich życie. Tymi nieprzyjaciółmi są dzikie zwierzęta a przedewszystkiem człowiek, indyjski myśliwy. Mięso szynszyli podobne w smaku do królika i zająca, a futerka bardzo drogo płacą kupcy.

Ale polowanie na szynszyle uciążliwe i wiele wymaga przebiegłości. Myśliwym niewiele pomaga strzelba Bo choć ukryty czatuje nad norami zwierzątek, choć te wkrótce wysu-

wają główki i ciekawie spoglądają w koło, choć wreszcie gromadnie wysuną się z kryjówek i skaczą w około, to przecież kiedy padnie strzał znikają w tej chwili, a nawet trafione zwierzę ma jeszcze na tyle siły aby się schować, a wszelkie poszukiwanie daremne, bo skała niedostępna.

Myśliwi indyjscy zakładają więc sieci z włosia nad norami, a kiedy zwierzątka wychodzą, wikłają się i duszą. Tym sposobem tysiące futer przychodzi do nas z dalekich krajów. Zwierzątko schwytane żywe, oswaja się nader prędko jak królik, jednak zatrzymuje sławną ochotę do skakania i wspinania się. Ztąd ani się spostrzeżesz kiedy ci siędzie na ramieniu.

Jadwisia skończyła, pożegnała się z Nalepami i poszła do chaty Maciejowej, gdzie matka na nią oczekiwała

Żelazne okowy.

(Legenda.)

W starożytnym Krakowie, gdzie kościołów jakby w drugim Rzymie, jest wiele ulic, a między niemi jedna nazywa się ulicą świętego Jana, bo stoi przy niej kościół pod wezwaniem tego świętego patrona; jest przy tym kościele szkoła dla dziewcząt, gdzie się uczą bogobojności i wszelakich nauk, ażeby były dobremi matkami, żonami i gospodyniami. A uczą tam po większej części same zakonnice.

Pewnego dnia przybyło do tego kościoła dwóch gazdów, klękli sobie pod chórem, modlili się gorąco, a potem rozglądali się w około, bo nikogo oprócz dziadka przy drzwiach wchodowych nie było w kościele.

Przystąpili pod wielki ołtarz i przypatrują się obrazowi świętego Jana. A widząc to dziadek, przybył do nich i pyta:

— A zkądżeście wy, moi ludzie? Czy z daleka?

A gazdowie na to:

— Oj z daleka, nasz dziaduniu stareńki! Tam het aż od Nowegotargu, co to jak wiecie leży niedaleko wysokich gór naszych.

— A cóż tu robicie w naszych stronach? — pyta dziadek.

A gazdowie mówią śmiało:

— Przyszliśmy tu do Krakowa na odpust, a teraz chodzimy po kościołach i oglądamy co gdzie jest pięknego, abyśmy

przybywszy do domu naszego, mogli opowiadać swoim sąsiadom i znajomym. W każdym kościele dowiedzieliśmy się o cudach Bożych, owoż ciekawi jesteśmy czy i tutaj nie wydarzyło się co cudownego?

— Aj cóż wy zaś gadacie — przemówi dziadek — żeby też i w tym kościele nie było dowodu, iżby pan Bóg z wysokiego nieba i Najświętsza Panienka nie opiekowali się polskiemi ludźmi? Wszak cały Kraków to istna pamiątka naszej przeszłości; każdy w nim kamyk opowiedziałby ci dziwa różne, gdyby gadać umiał, a każdy tu kościół mieści w sobie pamiątki po doznanych cudach. Patrzcie no na ołtarz obok tu stojący! Widzicie w nim obraz cudowny Najświętszej Panny Maryi, a tu patrzcie! są zawieszone ciężkie okowy żelazne.

— A cóż one mają znaczyć? — pyta jeden gazda.

— O, to pewnie o nich rzecz ciekawa? — rzeknie gazda drugi.

— A nieinaczej! — powie dziadek — Jest o nich bardzo piękne podanie. Słyszeliście zapewnie, gazdowie moi, o dzikich Tatarach co to napadali dawniejszemi czasy na polską ziemię?...

— Oj słyszeliśmy, dziaduniu stary — rzekł jeden gazda — bo w naszych górach jest pewna dolina, a zwie się ona Kościeliska. Tędy przechodziła owa dzika tłuszcza tych okrutników a górale z przyległych gór rzucali na nich kamieniami i kłodami drzewa, toć wytłukli ich na kwaśne jabłko, aż się potem z nich do słońca bieliły kości. Z tej też racyi nazwano dolinę ową Kościeliskiem na pamiątkę wieczną.

Na to powie dziadek:

— Były to więc ciężkie czasy, gdy Tatarzy wpadli do polskiej ziemi. Za okropne spustoszenia musieli się na nich mścić Polacy i występować przeciw nim z orężem w ręku. Szlachta porzucała dwory, i szła na krwawą wojaczkę, a włościanie tymczasem uprawiali rolę i pilnowali dobytku pańskiego. A gdy dziedzic wrócił, gromada oddała mu, co się mu należało, i była zgoda i miłość między ludźmi. Onego więc czasu dawno bardzo dawno już temu, gdy Tatarzy pustoszyli ziemię polską, poszedł na nich z drugimi także szlachcic pewien, który do tego tu cudownego obrazu Najświętszej Panny szczególne miał nabożeństwo. Zawsze tu bywał i prosił Najświętszą Pannę o jej łaskę świętą.

Nieszczęście chciało, że go Tatarzy schwycili i na ciężką zagnali niewolę.

— O Boże miłosierny! — westchnęli gazdowie, a dziadek tak mówił dalej:

— I jęczał długo ów pan w niewoli ciężkiej i gorzkiemi łzami opłakiwał swoją dolę, iż już może nigdy nie wróci do stron ojczystych i nie obaczy więcej polskiego ludu i nie usłyszy słodkiej mowy polskiej. Strapienie jego nie miało końca. Aż też razu pewnego gdy był w polu zaczął modlić się gorąco. Wnet przypomniał sobie Kraków, jego liczne kościoły, obrazy różne, a nakoniec i ten cudowny obraz Najświętszej Panny z naszego kościoła.

Przyklęknął na kolana i mówił głośno:

— O królowa nasza! wstaw się do Syna Twojego, żeby mię wybawił z niewoli tatarskiej! Pozwól mi jeszcze oglądać ukochaną ziemię polską, w której pragnę mieć złożone kości moje. Pozwól, bym się jeszcze mógł modlić przed Twoim cudownym obrazem w kościele świętego Jana, pani nieba i ziemi! Jeżeli dostąpię tej szczególnej łaski, iż się uwolnię od srogich więzów, udam się pieszo do Krakowa i w kościele świętego Jana złożę tobie cześć i podziękowanie!...

I widać Najświętsza Panna wysłuchała modlitwy jego, bo w krótkim czasie doznał niezrównanej łaski. Objawiła się mu Najświętsza Panna i cudownie wywiodła go z więzienia, chociaż liczna straż była koło niego. Przywiodła go bezpiecznie na granice Polski i powiedziała:

— Idź teraz a uczyń, jakoś mi ślubował!

I szedł ucieszony szlachcic do Krakowa i przybył zaraz do kościoła świętego Jana, by dopełnić ślubu uczynionego. Jakoż zeznał uroczyście o swojem cudownem ocaleniu i na wieczną pamiątkę owego cudu i wdzięczności bez granic, kazał zawiesić przy cudownym obrazie ciężkie okowy swoje, aby wszyscy ludzie wiedzieli, jak Najświętsza Panna ratuje pobożnych ludzi, gdy się do niej udają z czystem sercem.

I na tem przestał dziadek swoje opowiadanie. Gazdowie przyglądali się tym okowom z daleka i dumali nad tem szczególnem zdarzeniem.

A potem odezwał się jeden gazda:

– Bóg wam zapłać, dziaduniu dobry, za to opowiadanie, które powtórzymy w naszej wiosce. A teraz pójdziemy dalej.

A dziadek odpowiedział na to:

— Idźcie moi ludzie i pamiętajcie, żebyście się w utrapieniach waszych zawsze uciekali do Najświętszej Panny a pewnie doznacie ulgi i pocieszenia. Polecajcie jej siebie i całą waszą ziemię a ona was nie wypuści z opieki swojej!

Gazdowie odeszli, a ja wam to opisuję, jak słyszałem.

Józef z Bochni.

Szanowny Panie pisarzu Dzwonka!

Radbym wam z duszy serca pomódz w waszej pracy około oświaty tym waszym pisemkiem w prostym narodzie, ale się lękam, abym się przed oświeconymi ludźmi na wstyd nie wystawił. Mógł by mi kto powiedzieć że się do tego biorę czego nie rozumiem chociaż mam poczucie narodowe i dobre chęci jako prawdziwy polak, ale się na pismie nie umiem wyrazić, bo nie jestem uczony w szkole. Wszakże i za tę odrobinę oświaty panu Bogu dziękuję, również jak i za to że we mnie wlał miłość ojczyzny.

Bartosz i Jan.

„Czemuż“ — rzekł Bartosz do Jana
„Rola twoja nie zasiana
Kiedy wszyscy już zorali
Uprawili i zasiali?“
A na to Jan mu odrzecze:
„Co się zwlecze nie uciecze,
Radzęć szczerze mój Bartoszu,
Nie wtykaj się, gdzie nie proszą.“
Janek zaklnie, tupnie, splunie
I do karczmy prosto sunie.
Nie chciał Janek słuchać rady
Po dwóch latach poszedł w dziady.

Będę więcej podawał, skoro będę miał czas wolniejszy od pracy podczas długich wieczorów.

Maciej Szarek
włościanin z Brzegów pod Wieliczką.

Płody przyrody.

(Dokończenie.)

Widzimy więc z poprzedniego, jaki wpływ wielkie gorąco i zimno na płody przyrody wywiera. W krajach równikowych, tam słońce nie grzeje łagodnie, lecz pali; tam zimy nie ma, ale ulewy tylko straszne, to też po takich ulewach, pod promieniami gorącemi słońca wszystko niesłychanie rośnie, rozwija się. Tam przyroda wybujała – drzewa smukłe, olbrzymie, lasy tak gęste i zarosłe, że miejscami, jak np. w Ameryce, dopiero z siekierą w ręku drogę sobie utorować i przez nie przejść można. A tam na wysokiej północy wszystko całkiem przeciwnie — wszystko małe, karłowate, liche i nędzne.

My mieszkamy w krajach pod względem gorąca umiarkowanych. Ani zbytnie upały ani straszne mrozy tu nie goszczą. Mamy lato, mamy zimę, prócz tego mamy jesień i wiosnę. Z zimy zwolna przez wiosnę robi się lato – a lato przez jesień w zimę przechodzi. Wszystko umiarkowane. Nie ma tu olbrzymich roślin i zwierząt — ale nie brak na innych bardziej może do codziennego życia potrzebnych. Tu w pasmie umiarkowanem, przez zimowy mróz wszystko staje się krzepkiem i zdrowem, by na wiosnę i w lecie nowem życiem odżyć. Ziarno rzucone w ziemię bujnym strzela kłosem, aż oko się raduje na widok pysznych zboża łanów. Lasów nie brak; drzewa w nich nie tak może wyniosłe i wysokie jak w pasmie gorącem — ale mimo to i budulec z nich dobry, i na opał i inne potrzeby wystarczą. Są tu w tem pasmie dęby, sosny, świerki, buki, brzozy, lipy, topole itp. niezliczone i rozliczne drzew gatunki. Między płodami królestwa roślin nie ma owoców i korzeni pasma gorącego, ale są inne: pożywne i w wielkiej obfitości. Zwierzęta tu nie takie wspaniałe i wielkie, ale też i nie dzikie, nie nieprzyjaźne. Prócz niewielu zwierząt dzikich, wilki, niedźwiedzie, dziki itp. reszta albo zwierzęta swojskie, albo też nie są człowiekowi niebezpieczne i zagrażające, jak jelenie, sarny, zające itp. I odzież z nich mamy — bo wełnę z owiec, co lepsza od bawełny z krajów gorących, i futra, nie takie kosztowne jak owe z krajów północy, ale zawsze dobre i ciepłe i pożywienie z mięsa tych zwierząt. A że w pasmie umiarko-

wanem mało złota i srebra, i mało drogich kamieni, to nie wiele szkodzi, jest za to obficie żelaza w łonie ziemi, jest miedź, cynk, węgiel kamienny, jest i soli nieprzebrana ilość.

Porównajmy więc w myśli korzyści tych płodów, jakie w różnych krajach mamy. Oto widzimy że kraje umiarkowanego pasma najszczęśliwiej od Boga są uposażone. Tu człowiek ma wszystko pod reką, co mu do życia i wygody potrzebne. Wprawdzie ziemia mu nic darmo nie daje; musi człowiek w pocie czoła pracować, musi łono tej matki ziemi rozorać, i użyźnić by mu plon przyniosła, ale też taż sama praca stokroć mu milszem to życie czyni. Każdy kawałek chleba gorżko zapracowany, daleko lepiej smakuje nam, niż jakiemu mieszkańcowi krajów gorących jego pyszne owoce, po które tylko rękę sięgnął i z drzewa je zerwał. Wśród trudów i mozoły zdobywamy tu wszystko — mocno musimy przemyśliwać nad wszystkiem, jakby tę pracę sobie ułatwić i przyjemniejszą zrobić. Ztąd u nas wynalazki, ztąd maszyny, ztąd przemysł, postęp — potem lepsze i łatwiejsze życie, wśród którego i nauki i umiejętności rozwinąć się mogły. I rzeczywiście pod ostatniemi względami kraje te umiarkowanego pasma najwyżej stoją, a nasz kraj niepoślednie między niemi zajmuje miejsce.

O stokroć szczęśliwszym nasz rolnik wśród łanów zboża, co za bożą pomocą a jego pracą się wzniosły od mieszkańców krajów gorących, od biednych, nieoświeconych murzynów, od tysięcy biednych nagich indyanów i wielu innych, którzy Boga nawet nie znają, którzy tysięcami w niewolników sprzedawani, wśród upałów strasznych pracować muszą napędzani pletnią właściciela, co ich za marny grosz na własność kupił.

Szczęśliwsi my od tych nieszczęśliwych Lapończyków, Grenlandczyków i innych ludów na wysokiej północy. Oni tam w chatach gdzieś pod ziemią wykopanych, lub z ziemi ulepionych a czasem w lodzie wykutych mieszkają. Pokarmem ich mięso renów, mięso morskich koni i psów, najczęściej surowe, i tran to jest olej z morskich zwierząt. Gdy noc ich wielka to jest zima nadejdzie, to parę miesięcy słońca nie widzą, wciąż noc i noc, tylko gwiazdy czasem świecą i zorża północna. To też i umysł ich dziecinny a nierozwinięty — ich mowa z kilkadziesiąt tylko słów się składa. Słowa: miłość, przyjaźń, uczu-

cie, oni nie znają; niektórzy nawet rachować wyżej nie umią jak do trzy lub cztery.

Dziękujmy Bogu, że nam w naszym dał się rodzić kraju wśród tych cudnych gór i lasów — gdzie nam nie brak niczego, gdzie trochę tylko pracy, a żyć jest z czego. Szanujmy i kochajmy tę błogosławioną ziemię naszą, bo ona naszą matką prawdziwą. *Stach ze Lwowa.*

Rozmaitości.

— Wielce chwalebny zwyczaj zachowywał król Stefan Batory, gdy zasłużonych i krew za ojczyznę przelewających w dobrej miał pamięci. Trafiło się, że gdy Pękosławskiemu, zostającemu daleko odedworu królewskiego na posłudze w sprawach Polski przywilej na starostwo sandomirskie pisać kazał, rzekł mu kanclerz: „Miłościwy królu! wszakże Pękosławski o to nie prosi.“ Na co król odpowie. „Aż nadto prosi, kto dobrze służy.“

— Bieganowski Mikołaj, Kasztelan Kamieniecki był dwa razy w poselstwie do Turcyi za królów polskich Władysława IV. i Jana Kazimierza. Gdy i trzeci raz tej się od niego domagano posługi, choć już był osłabiony na zdrowiu, odpowiedział: Miło mi to będzie, choć tę przysługę dla kochanej ojczyzny życiem mojem przypieczętuję. Trzeba wiedzieć że dawniej droga do Turcyi była bardzo niebezpieczna, bo nie było ani kolei ani gościńców jak teraz.

Złote ziarna.

Kiedy się cieszysz, śmiejesz, czas wesoło trawisz
Pomyśl, — czy się z uciechy szkody nie nabawisz.

Nad szumne zbiory, nad bogate mienie,
Lepsze jest zdrowie czerstwe, i czyste sumienie.

Do dobrego od młodu bierz się z całą siłą,
Przykro ci będzie zacząć — lecz dokończyć miło.

Kiedy chce człowiek tego, co Bóg każe,
Z pomocą Bożą czego chce dokaże.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza